



Układ

Agnieszka Rezler

słoneczny

Projektantowi tego domu powiodła się trudna sztuka adaptacji nietypowej problematycznej działki, jego właścicielom zaś – niełatwe zadanie harmonijnego połączenia nowoczesnej architektury ze stylowym wnętrzem. Efekt nastrojowy i inspirujący...

Południowo-zachodnie słońce oświetla frontową elewację budynku, wyraźnie służąc jej urodzie: na niebanalnej fasadzie rysuje kreski cieni, dodaje głębi. To nie wróży dobrze – wszak od frontu mamy zwykle sień, pomieszczenia gospodarcze, najwyżej kuchnię; im światło słoneczne jest najmniej potrzebne. Dlatego stojąc przed furtką, instynktownie oczekujemy niedużych ciemnych wnętrz i skromnego ogródka – dom „odwrócony plecami do słońca” robi od strony ulicy wrażenie niezbyt wielkiej, za to solidnie ufortyfikowanej budowli. Zasłonięta parkanem parcela jest tu bardzo wąska – przylega do chodnika na długości ledwie 10 metrów.

Tuż za progiem, w przeszklonej sieni przychodzi te zapatrywania zrewidować. Dom jest duży – ma ok. 250 m² powierzchni, a jego wnętrze natychmiast ujawnia otwarty

charakter. Światła tu nie brakuje, jest za to w najlepszym gatunku: łagodne i rozproszone. W dodatku parter dużymi przeszkleniami otwiera się na wcale niemały ogród o łącznej powierzchni 1600 m². Złudzeniu zamknięcia przed słońcem winne są jedynie architektoniczne sztuczki.

Dworki za burtę

Gospodarze, Hanna i Wojciech, od początku byli zdecydowani na projekt indywidualny. Wystarczyło im kilkanaście lat doświadczeń pod rygiem dawnych norm budowlanych w „typowym” bliźniaku z początku lat dziewięćdziesiątych. Nowy dom miał być wygodny i skrojony na miarę potrzeb. No i była działka – dla odmiany całkiem nietypowa, o planie nieregularnego trapezu, z wjazdem od najatrakcyjniejszej oświetleniowo, południowo-zachodniej



Ogród od południowego wschodu. Dwa rozwarte skrzydła domu całkowicie osłaniają go przed wzrokiem ciekawskich, a do tego stanowią zapórę dla odgłosów najbliższej ulicy i dla silnych zachodnich wiatrów

strony. Pierwszy architekt, z którym nawiązali kontakt, okazał się jednak zupełnie pozbawiony intuicji. W odpowiedzi na jasno wyrażone oczekiwania przedstawił sztamową koncepcję dworku, jakich wiele. Trafił kulą w płot – inwestorom nie odpowiadał ani projekt „z matrycy”, nieuwzględniający problematycznych warunków działki, ani – tym bardziej – zaproponowany styl. *Banalnych dworków mieliśmy powyżej uszu – śmieje się Wojciech – naoglądaliśmy się ich dosyć, szukając inspiracji w pobliskich miejscowościach.*

Los podsunął na szczęście lepsze rozwiązanie: w owym czasie niedaleko powstawał dom córki i zięcia, i choć potrzeby obu rodzin były odmienne, architektura autorstwa Jerzego Hryniewickiego przypadła do gustu także rodzicom. Dzięki inwestycji młodsze pokolenie mieli też okazję poznać sposób współpracy projektanta z klientem – i on również nie budził zastrzeżeń.

Sesje, podczas których omawiano i korygowano wstępne szkice, ciągnęły się przez kilka miesięcy. Ten okres dziś procentuje: dom w pełni respektuje wymogi

otoczenia, a także potrzeby i upodobania mieszkańców.

Manewr oskrzydający

Przestrzenne fortele, którymi posłużył się architekt, nie były sztuką dla sztuki. Miały za zadanie ukryć dużą kubaturę części mieszkalnej i obszernego podwójnego garażu w zgrabnej stylowej bryle, a przy tym oszczędzić jak najwięcej powierzchni ogrodu. I wpuścić wystarczającą ilość światła dziennego do wnętrza domu, na pozór skazanego na niedoświecenie – jak wiadomo, ogród od wschodu srodze takie zadanie utrudnia.

Projektant złożył budynek z dwóch brył: głównej (o dwóch kondygnacjach, mieszczącej dzienną przestrzeń wspólną i „mini-mieszkanko” mamy gospodarza, a na piętrze strefę prywatną z sypialniami i pokojem do pracy) oraz mniejszej, jednokondygnacyjnej, w której znalazły się kuchnia i garaż ze sporą antresolą. Oba prostopadłości, zestawione pod szerokim rozwartym kątem, opiekuńczo „oskrzydliły” ogród. Pozwoliło to wykreować rozległą, ale przy tym osło-

niętą i kameralną ostoję zieleni z dużym wygodnym tarasem. Mogą tu zajrzeć jedynie mieszkańcy sąsiadującego z posesją rzędu szeregowców, a i te widoki są skąpo dozowane przez kurtynę młodych drzew na granicy działki, które uparcie pną się w górę.

Kilka lat temu, u progu budowy, działka była pusta – nie rosło tu nic poza jednym wschodzącym dąbkim. Gdy ruszyły roboty fundamentowe, sąsiadów ogarnął niepokój; to, co wyłaniało się z wykopu, nie kojarzyło im się z niczym znanym i... lubianym. Wydłużony zarys budynku nasuwał raczej obawy, że oto w rejonie prywatnych domów mieszkalnych wyrasta wystawna firmowa siedziba. Wielu frasowała też rosnąca północno-zachodnią ścianą domu, wysoka i niemal lita, tuż pod linią dachu przecięta przerywaną kreską wąskich okien. *Nawet mnie jej widok trochę niepokoił – przyznaje Wojciech – wydawała się naprawdę potężna, zwłaszcza że ze względu na wody gruntowe budynek wyniesiono o pół metra nad poziom terenu.* Jednak architekt wiedział co robi; klinkierowa oblicówka dolnej partii murów wprowadziła poziome podziały, obniżając



optycznie bryłę budynku, a przy tym dodając elewacjom charakteru. Swoje zrobiły też wyrosnięte i rozłożyste posiadłości sąsiedzkie – ich gabaryty „przygasiły” dom, który na ich tle urzeka prostotą i... skromnością bryły.

Tropem światła

Główne zadanie projektowe było jasne jak słońce: dom należało wypełnić światłem. Architekt użył tu swojego bogatego doświadczenia i nowoczesnej techniki projektowej: powstały liczne wykresy nasłonecznienia, a model budynku obracał się na monitorze komputera w pogoni za słonecznymi promieniami.

Dobrane do tych warunków układ okien dał zaskakująco dobry efekt: duże przeszklenia na południowo-wschodnich ścianach zalewają pomieszczenia łagodną poświatą, która nie razi nawet z samego rana, a intensywny blask od zachodu „ce dzony” jest przez nieduże poziome okienka, na parterze umieszczone wysoko, pod linią stropu – po południu nie trzeba zaciągać rolet ani mrużyć podrażnionych oczu. Jedyne duże okno wychodzące wprost na zachód znalazło się w kuchni, ale skrywa je głęboki podcień wejściowy.

U góry po prawej i u dołu – duży pokój dzienny pełen łagodnego światła. Trawertynowy kominek nie służy tylko do ozdoby; ściana za nim skrywa tzw. płaszcz wodny. Nie udało się niestety zainstalować w tym miejscu kominka dwustronnego, otwartego także na sąsiedni salonik – kilka lat temu wkłady dwustronne z „płaszczem” były u nas nie do zdobycia; pojawiły się na rynku niedługo potem. Niezwykłe połączenie strefy dziennej z salonikiem zapewnia za to przeszklona gablotka, wypełniająca fragment ściany po lewej stronie kominka – pomysł pana domu. Znalazły w niej miejsce wyszukiwane i gromadzone od lat, ulubione okazy porcelany

Pomysły projektanta posłużyły też tarasowi. W letnie poranki, gdy żar nie jest jeszcze dokuczliwy, jego powierzchnia skąpana jest w słońcu. Po kilku godzinach, kiedy każdy chowa się przed upałem, taras ogarnia cień. Za to na trawniku długo jeszcze gości słońce, zaglądając tam zza niższego garażowego skrzydła domu. A gdyby mieszkańcy bardziej za nim zatęsknili, pozostaje im duży taras przy sypialni, nad kuchnią, latem oświetlony do późnego wieczora.

Zdalne sterowanie

Realizacji skomplikowanego projektu nie można było powierzyć byle komu, zwłaszcza że wtedy właśnie los rzucił inwestorów... za granicę. Przedsięwzięcie zapowiadało się, jak na polskie warunki, karkołomnie. *Ale znajomi mówią, że jestem w czepku urodzony – śmieje się Wojtek – Przejeliśmy naprawdę doskonałą ekipę po córce, poza tym na budowę zaglądał od czasu do czasu architekt, a częściej znajomy fachowiec z sąsiedztwa,*





„Deficytowe” światło nobilitowano w tym domu do gwiazdorskiej rangi: odbija się w przeszklonych witrynach mebli, załamuje – jak tu – w kryształowych lustrach i przejrzystych naczyniach. Na dolnych zdjęciach pelen uroku salonik, usytuowany za pokojem dziennym, „doprojektowany” do głównego skrzydła budynku. Jego matką była potrzeba rozlokowania w spójnej przestrzeni wdzięcznych biedermeierowskich mebli, a ojcem – gospodarz, który kilka lat temu odkrył w sobie pasję kolekcjonera sprzętów z tego okresu. Salonik bywa nastrojową herbaciarnią lub gabinetem, zależnie od potrzeby. Znalazły w nim azyl liczne pamiątki rodzinne i bogaty, różnorodny zbiór porcelany

który na naszą prośbę objął troskliwą pieczę nad przedsięwzięciem. Szybko jednak okazało się, że nie ma wiele do roboty – chłopcy pracowali bez zarzutu.

Brygada energicznych górali spod Limanowej reprezentowała archetyp firmy rodzinnej: bracia, szwagrowie i dalsi kuzyni wymieniali się na froncie robót wedle możliwości i potrzeb, a wszystko to w ramach jednej rodziny. Robota paliła im się w rękach: trójwarstwowe ściany z cegły wapienno-piaskowej ocieplone wełną mineralną postawili równo, solidnie i schludnie. Dach, pokryty miedzianą ceramiczną „esówką” i wykończony kosztowną blachą tytanowo-cynkową, do dziś nie przysparza trosk także za sprawą solidnego wykonawstwa. *Alkohol widziałem na budowie tylko wtedy, kiedy sam go przywiozłem – przy okazji zatknięcia wiechy i na zakończenie prac* – wspomina gospodarz.

Zdalnej inwestycji sprzyjała też okolica obfitująca w składy budowlane. Szef firmy zamawiał materiały w ramach umowy, którą właściciele zawarli z hurtownią. Zbiorcze faktury regulowane były podczas rzadkich wizyt inwestorów lub całkiem „wirtualnie” – za pośrednictwem faksu i telefonu.

Pod dobrą gwiazdą

Szczęście nie opuszczało inwestorów także na etapie wykończeń. Zarekomendowana przez córkę i zięcia solidna, choć niewielka firma z Pizy dostarczyła okna z nowoczesnie preparowanego drewna sosnowego. Wytrzymała i efektownie wykończona stolarka przywodzi na myśl szlachetniejszy i droższy gatunek. Zakładnik przywiózł jeszcze ostatnie drzwi tarasowe i... splajtował! Balustradę tarasu z giętych dębowych desek, którą miał wykonać w ramach umowy, trzeba było zlecić komu innemu.

Właściciel-bankrut wskazał na szczęście odpowiedniego sukcesora, fachowca od drewna, a przy tym... artystę. Stolarz-rzeźbiarz, absolwent uczelni plastycznej, miał doświadczenie, serce do pracy i dobry smak. Poza prostą (choć giętą) balustradą „wyrzeźbił” piękne schody z dębiny, kilka regałów, szafkę i stół do salonu. Nie przekonał tylko właścicieli do rzeźby, którą umyślił sobie udekorować początek biegu schodowego – tu gusta nieco się rozminęły.

Równie dobrą, jak poprzednicy, robotę wykonał parkieciarz z Krakowa. Wprawdzie posadzkę zaczął układać dopiero za trzecią wizytą – wcześniej niewysuszone do końca





szlichty dwukrotnie nie znalazły jego akceptacji – ale to co ułożył prezentuje się nieskazitelnie: dębowe klepki o miodowym odcieniu po kilku latach użytkowania wciąż leżą jak ulał.

Ostatni szlif

Do pomocy przy aranżacji wnętrza zaproszono młodych projektantów. To oni wspólnie z właścicielami długo i pieczołowicie dobierali

kolory ścian, uwydatniające urodę sprzętów: delikatny krem i „kamienną” szarawą zieleń. *Takie konsultacje są bardzo wartościowe – zapewnia Hanna – wbrew pozorom, pozwalają zaoszczędzić nie tylko czas, ale i pieniądze. Bo dzięki nim człowiek nie błądzi i nie musi później własnych błędów naprawiać.*

Gdyby jednak nie żmudny proces projektowy, „wnętrzarze” mieliby do wykonania tylko banalny makijaż. To wcześniejsza

współpraca z architektem i własne doświadczenia pozwoliły Hani i Wojtkowi stworzyć przestrzeń, w której każdy mebel, obraz czy detal mają swoje miejsce. Niejeden zaułek i wnękę zaprojektowano tu specjalnie dla wiekowej etażerki czy komody. Bo w tym domu architektura podporządkowana jest mieszkańcom – tym żywym, ale i tym nieożywionym, wnoszącym piękno, nastrój lub bagaż osobistych sentymentów. ■

U góry – obszerna małżeńska sypialnia z subtelnie zdobionym dębowym łóżem i własnym słonecznym tarasem. Na dolnych zdjęciach panoramiczna łazienka w przeszklonym wykuszu. Piękna stolarka okienna jest niemal jedyną ozdobą powściągliwie urządzonego wnętrza. Ramy okienne wypełniono szkłem refleksyjnym, które zapewniając prywatność nie ogranicza naświetlenia. Okazało się jednak, że po zmroku, przy zapalonym świetle, efekt przestaje działać – okna stają się przejrzyste. Na szczęście pozostaje przyjemność kąpieli porannych lub... przy blasku słońca

